Listek

Krąg Vendariona. Okruchy

Autor: Piotr Grochowski

/Memoria, latem, 62 r./

Było dobrze po północy, w powietrzu unosił się zapach ciepłego deszczu i smażonych ryb, w górze grało jakieś radio, przecznicę obok kobieta, zapewne ladacznica, złorzeczyła wymyślnymi słowami. Noc, jakich wiele w Małym Quan.

Mae-Thai łapała oddech gwałtownymi haustami, dygotała i szczękała zębami. Tak działał najpotężniejszy z istniejących bogów – Strach. Dawno przestała wierzyć w quańskie gusła, w moc modłów i przepowiedni swego pierwotnego ludu. Tamci bożkowie, dziwaczne stworzenia i ich *Mówcy pośród żywych* pozostali daleko, daleko za oceanami – w prawdziwym Quan. Tutaj, w Vendarii, ich czary nie działały. Tutaj rządził człowiek i jego najpaskudniejsze instynkty.

Vendaryjscy wyznawcy czcili dymne wino, proszkowane sny spalane w kościanych lufkach, cielesne igranie ciał natartych balsamami i przemoc podarowaną przez los. No i Strach. To jego wielbili ponad wszystko. Quanowie, którzy osiedlali się w Vendarii od dziesiątek lat, stawali się nowym gatunkiem. Musieli się dostosować, może zbyt słabi, by przeciwstawić się nowemu światu.

Mae-Thai, tak po prawdzie, nie była Quanką. Nie w pełni. Co prawda matka dziewczyny pochodziła z Czerwonego Wybrzeża, z podmiejskiej wioski pełnej bambusowych chat, umieszczonych na solidnych palach wbitych w dno morza, ale Mae-Thai nie potrafiła przypomnieć sobie matczynego imienia – sprawił to Strach. Ojciec, wysoki jasnowłosy Vendaryjczyk, pozostał we wspomnieniach dziewczyny jako statua, posąg, obcy kamienny bożek. Widziała go zaledwie kilka razy – wszystkie zdjęcia, które posiadała matka, zabrała woda.

To był zły pomysł, przeklęty podszept losu. Jak niby pośród milionów ludzi odnaleźć tego jednego? Po tylu latach? W odległym kraju? „Umierającej matce nie odmawia się marzeń”, cóż za głupiec wymyślił te słowa?

Popłynęła. Z rzeszą jej podobnych biedaków, z tobołkiem podróżnych drobiazgów, na pokładzie wielkiego cuchnącego statku. Za pracą, za marzeniami, za wskazaniem losu.

Zamknęła listek w drobnej piąstce. Metalowy, wytarty – jedyne, co pozostało z jej dawnego życia. Pieprzony listek, kaprys przeznaczenia.

Splunęła krwią z rozciętej wargi.

Zbliżali się.

Trzech mężczyzn – chudych i żylastych, zręcznych i opętanych snami. Sny zawsze widać w oczach. Nawet nie musiała się im dokładnie przyglądać. Mae-Thai doskonale wiedziała, kogo okradła i jakich drabów ten ktoś najmuje do załatwiania spraw.

Przywarła plecami do skrzyni. Powiodła wzrokiem po zaułku, starając się coś wymyślić. Nie miałaby szans z dwoma, trzech – to oznaczało koniec. Strach szeptał do niej z głębi duszy.

Wtedy, gdy myśli Mae-Thai zaczęły krążyć już tylko wokół najstraszliwszych z możliwych rozwiązań, poczuła ból. Palący, piekący i narastający. I swąd, mdlący zapach palonego ciała. Gwałtownie rozprostowała palce. Listek, spadając na bruk, przeistoczył się w duży metalowy przedmiot. Zakończony ostrymi krawędziami kształt uderzył o kamienie w asyście wysokiego, czystego dźwięku – przywodzącego na myśl dawno niesłyszany instrument. Mae-Thai mrugnęła; między jednym a drugim opadnięciem powiek dostrzegła ranę wypaloną na lewej dłoni. Lecz wtedy ból odszedł. Zupełnie.

A Strach – ponownie, ale jakże inaczej – przemówił do niej wewnątrz duszy.

***

Pierwszego cięła od dołu, z całych sił – zaatakowała, wykorzystując jego ignorancję, pychę i zaskoczenie. W końcu wytatuowani opryszkowie walczyli z dzieckiem, z dziewczynką. Mogła mieć jakieś trzynaście, najwyżej piętnaście wiosen; była chuda, brudna, w potarganej koszuli, z nogami owiniętymi czymś na kształt szarych bandaży. Głową sięgała im do wysokości piersi.

Gordon Kang przeklinał w myślach samego siebie, swoją bezsilność, strach i cholerny los. Stał tam z rękami zaciśniętymi na uchwytach kosza z odpadkami i tylko patrzył.

Pierwszy z drabów chwycił się za brzuch, spod zaciśniętych rąk zaczęła wypływać krew. Wciąż miał zaskoczoną minę. Pozostali dwaj otrząsnęli się z pierwszego szoku i rzucili do walki. Jeden ściskał w ręku okutą pałkę, drugi trzymał maczetę.

Mała uniknęła ciosu, zanurkowała pod ręką dzierżącą kij i cięła w przelocie. Zaraz potem zbiła uderzenie długiego ostrza i po zaułku poniósł się jękliwy, śpiewny odgłos metalu uderzającego o metal. Ten z pałką wypuścił broń z ręki i chwycił się za prawy bok. Jego rozchełstana koszula zabarwiła się w tym miejscu czerwienią. Ostatni oprych machnął po raz kolejny. Mała uchyliła się, zgrabnie tańcząc na lewej nodze, jej stopy ledwie muskały bruk. Jeszcze jeden unik i stanęła za jego plecami. Pchnęła krótko, szybko i z zadziwiająco dużą siłą. Ostrze wyszło brzuchem, wytatuowany drab parsknął krwią, maczeta wypadła mu z tracącej władność dłoni. Osunął się na kolana, a później na twarz. Jego kompani konali tuż obok. Życie uchodziło z nich szybko, kropla za kroplą, wsiąkając krwią w szpary między kamieniami.

Gordon patrzył. Broń, którą walczyła dziewczyna, wziął w pierwszej chwili za nóż – rękojeść owinięta była kawałkiem szmaty. Teraz widział wyraźniej – to było ostrze, z tych, które nasadza się na kij, na drzewce. Przypomniał sobie: żeleźce – tak się nazywało owo ustrojstwo. Gordon mógłby przysiąc, że ostry metal, przypominający kształtem płomień, jarzył się delikatnym żółtawym światłem, ale – zganił siebie w myślach – zapewne wysłużony wzrok płatał mu figle.

Mała rozejrzała się. Na moment ich spojrzenia się spotkały. W oczach dziewczyny próżno było szukać jakichkolwiek emocji. To właśnie to – o wiele bardziej niż zakończona przed chwilą gwałtowna walka – przeraziło Gordona. Pusty wzrok, ciemne, bezdenne oczy i poszarzała twarz. Jak jeden z tych quańskich demonów. Psiakrew...

Dziewczyna zerwała się do biegu, przeskoczyła przez najbliższy murek, pokonała ogrodzenie z metalowej siatki i zniknęła pośród zabudowań. Przez moment Gordonowi wydawało się, że w rękach małej dostrzegł drzewce, ale pokręcił głową i westchnął.

„Jeszcze tak daleko do świtu”, pomyślał. „Niech to wszystko szlag. Trzej martwi siepacze z Klanu Kugga, dziewczynka-demon, płonące ostrze i krew, cholernie dużo krwi”.

Ot, po prostu noc.

Noc, jakich wiele w Małym Quan.